

Roman Kuźniar

prof. dr hab., Uniwersytet Warszawski

CZTERY ROLE AMERYKI*

*Andrzejowi,
aby jego Ameryka stała się kiedyś znowu wielka*

Nie, to nie będzie rzecz napisana z perspektywy teorii ról. To będzie rzecz o roli, jaką Ameryka odgrywała w ciągu ostatnich trzydziestu lat, w kolejnych odsonach ewolucji współczesnego porządku międzynarodowego. Odgrywała lub próbowała odgrywać. Będą to zatem kolejne cztery role wyznaczone jej przez historię lub podejmowane z jej inicjatywy. Chodzi o role, w które Stany Zjednoczone faktycznie się wcielały w stosunku do różnych komponentów czy problemów życia międzynarodowego ostatnich dekad.

Na te zaledwie trzydzieści lat przypadają niezwykle, zaskakujące, niezrządkiem dramatyczne zmiany międzynarodowe, które są jednocześnie cezurami oddzielającymi poszczególne fazy tego okresu. Chodzi o lata 1987–2016. Ta cezura jest dosyć sztuczna, ale umożliwia objęcie polem analizy i prezentacji właśnie tych tytułowych czterech ról. Najpierw, to już właściwie końcówka zimnej wojny, Stany Zjednoczone jako lider i protektor wolnego świata. Następnie, po rozpadzie układu Wschód–Zachód, był czas jednobiegowego, globalnego

* Tytuł artykułu nawiązuje do tytułu mojego wykładu w ramach Andrzej Kapiszewski Distinguished Lecture Series w 2011 roku. Notatki z wykładu zaginęły, ale idea tekstu pozostała ta sama.

przywództwa (czas Billa Clintona). Potem krótki okres marzenia o globalnej hegemonii (prezydentura George'a W. Busha), i wreszcie, przywództwo powściągliwe Baracka Obamy.

USA jako lider wolnego świata

Pierwsza z prezentowanych tu ról zostaje pokazana jedynie „dla porządku”, czyli po to, aby zobaczyć jak różnym formom przywództwa Stany Zjednoczone (jako globalne mocarstwo) musiały czy chciały sprostać w stosunkowo krótkim czasie (trzech dekad). Pierwsza postać przywództwa trwała niemal pół wieku, ograniczę się tu do jej końcowego okresu, aby nie zachwiać proporcji w ramach zamierzonej prezentacji. Warto w tym miejscu jedynie przypomnieć, że Amerykanie wyciągnęli właściwe wnioski z doświadczenia II wojny światowej. Zrozumieli, jak wielkim błędem był ich izolacjonizm w okresie międzywojennym. Ich udział w tej wojnie był swoistym przejściem mocarstwa przez „smugę cienia”, czyli przyspieszonym dojrzewaniem do przywództwa przynajmniej w skali „wolnego świata” oraz do udziału w ich części odpowiedzialności za kształt porządku międzynarodowego.

Potrąfili się dobrze w tej roli znaleźć i z tej odpowiedzialności wywiązać. Rolą główną była obrona Zachodu (który geopolitycznie właśnie pod ich przywództwem powstał) w obliczu ofensywy międzynarodowego komunizmu. Cele Związku Sowieckiego i utworzonego przezeń bloku były wszak, z uwagi na uniwersalistyczną naturę tej ideologii, globalne. Ale z globalnego charakteru antagonizmu Wschód–Zachód oraz USA–ZSRR wynikała także odpowiedzialność za pokój światowy. Było to zarazem pochodną wprowadzenia, najpierw przez same Stany Zjednoczone, broni atomowej do arsenału militarne wielkich mocarstw. Podkreśleniem potencjału i odpowiedzialności dwójki globalnych antagonistów był przysługujący tylko im tytuł pierwszych w historii „supermocarstw”.

W praktyce nie obyło się oczywiście bez błędów, które brały się nie tylko z tego, co oczywiste, czyli uprawiania polityki przez ludzi, ze wszystkim znanymi słabościami i ograniczeniami wynikającymi z ich natury. Chodziło tu również o realizację ich własnych, mocarstwowych (narodowych, głównie ekonomicznych) interesów, które niekiedy wchodziły w kolizję z rolą przywódcy wolnego świata. Przykładem może być wojna w Wietnamie czy interwencje w Ameryce Łacińskiej.

Strategia powstrzymywania, która była operacyjnym wyrazem roli przywódcy Zachodu zdała egzamin, aczkolwiek George Kennan, dyplomata, który zainspirował administrację Trumana do jej sformułowania narzekał później na jej nadmierne zmilitaryzowanie¹. Mylił się w tym sensie, że to właśnie wzmocnienie jej komponentu militarnego w latach 80., a przy tym zachowanie jej powstrzymu-

¹ X, *Sources of Soviet Conduct*, „Foreign Affairs”, lipiec 1947 (X był pseudonimem Kennana, który nadal wtedy przebywał w ambasadzie USA w Moskwie).

jącej istoty, doprowadziło do załamania komunistycznego Związku Sowieckiego. Stany Zjednoczone administracji Ronalda Reagana trafnie zidentyfikowały moment słabości czy może raczej strukturalny kryzys przeciwnika i narzucając mu wyścig zbrojeń, któremu nie mógł sprostać przyspieszyły łagodną agonię ZSRR i całego bloku. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na rzadki moment roztropności zwycięskiego mocarstwa. Ani prezydent Reagan, ani jego republikański następca George H. Bush, asystując przy tej agonii, nie kierowali się poczuciem tryumfu i chęcią maksymalnego wykorzystania historycznego zwycięstwa nad systemowym adwersarzem, lecz uważnie czuwali, aby proces upadku komunizmu nie przekształcił się w jakiś wojenny kataklizm na obszarze jego dotychczasowego władania, a państwom, które wychodziły z komunizmu zaoferowali rozległą pomoc.

Szczególną wielkoduszność, choć nie jest to zapewne słowo odpowiednie dla opisu relacji między mocarstwami, Ameryka okazała upadającemu Związkowi Sowieckiemu, a następnie Rosji, która była jego sukcesorem. Spotkania prezydenta Busha jeszcze z Gorbaczowem, a następnie z Jelcynem wskazywały, że Waszyngton zamierza respektować interesy Moskwy na obszarze byłego Związku Sowieckiego, a być może także w Europie Środkowej oraz traktować ją jak mocarstwo, które jest nadal ważnym partnerem Stanów Zjednoczonych.

Stany Zjednoczone starały się także poprzez kanały rządowe, niezależnie od aktywności podmiotów prywatnych, wspierać procesy transformacji byłego Związku Sowieckiego, a zwłaszcza Rosji, w kierunku demokracji i gospodarki wolnorynkowej. Poziom empatii wobec Związku Sowieckiego w ostatnich 2–3 latach istnienia (a następnie Rosji) – mocarstwa odpowiedzialnego za ogromne krzywdy wyrządzone narodom poddanym wcześniej jego dominacji – budził niekiedy krytykę i obawy w państwach, które się wyzwalały spod tej dominacji, ale Waszyngton kierował się względami bezpieczeństwa². Był w tym niewątpliwie przejaw dojrzałości amerykańskiego przywództwa, choć można zapewne również postawić hipotezę, że brało się to z mocarstwowego przyzwyczajenia do traktowania innych mocarstw w sposób, który uwzględnia ich „większe prawa i roszczenia”. Można ją nieco złagodzić interpretacją, że chodziło o swego rodzaju inwestycję w partnerstwo z Moskwą, które będzie ją cywilizować w sensie odpowiedzialności za utrzymanie pokoju i bezpieczeństwa światowego.

Było to widoczne zwłaszcza w ogłoszonej na forum ONZ (1 października 1990) przez G.H. Busha koncepcji „nowego porządku światowego”, którego fundamentem będzie „nowe partnerstwo narodów przekraczające zimnowojenne podziały”. Jego celem miały być „rozwój demokracji wzrost dobrobytu, umacnianie pokoju i ograniczanie zbrojeń”. Pierwszym praktycznym testem tej

² W Waszyngtonie silna była obawa, że zbyt daleko idąca destabilizacja czy dekompozycja polityczna na obszarze byłego ZSRR mogłaby doprowadzić do utraty kontroli nad (post-) sowieckim arsenałem nuklearnym.

koncepcji był problem reakcji na agresję Iraku na Kuwejt a następnie ogłoszenie przez Bagdad aneksji tego państwa. To był akt sprzeczny z fundamentalnymi zasadami porządku międzynarodowego i Stany Zjednoczone wzorowo wywiązały się z roli jaka im przypadła. Zainicjowały stosowną rezolucję w Radzie Bezpieczeństwa NZ, współpracując z pozostałymi mocarstwami z P-5 uzyskały mandat Rady, a następnie sformowały pod swoim dowództwem militarną „coalition of willing”, która wyzwoliła Kuwejt (operacja „Pustynna Burza”, styczeń-luty 1991). Prezydent Bush podjął w ten sposób próbę położenia podstaw pod pozimnowojenną odmianę porządku międzynarodowego³.

W układzie czysto atlantyckim, czyli w roli przywódcy „wolnego świata” Stany Zjednoczone zaczęły się już za G.H. Busha przygotowywać do rozszerzenia Zachodu. Było to widoczne w zdecydowanym wsparciu dla reform podjętych w państwach Europy Środkowej, które od początku deklarowały systemowy zwrot ku Zachodowi (m.in. wizyta G.H. Busha w Polsce już w lipcu 1989). W Waszyngtonie od początku miało świadomość historycznego znaczenia przemian tam zachodzących. Przejawem tego zrozumienia w wymiarze czysto strategicznym była pamiętna konkluzja szczytu NATO w Londynie, w lipcu 1990 roku, która zapowiadała wejście Sojuszu w fazę głębokiej transformacji. Jej efektem było przyjęcie na kolejnym szczycie NATO, w Rzymie (listopad 1991 roku) nowej Koncepcji Strategicznej, w której państwa byłego Układu Warszawskiego nie były już uważane za przeciwnika. Jeszcze ważniejsza była decyzja o powołaniu Północnoatlantyckiej Rady Współpracy, której celem było włączenie wszystkich państw byłego UW, także tych, które miały się wkrótce wyłonić z byłego ZSRR, do współpracy na rzecz bezpieczeństwa w całej strefie euroatlantyckiej⁴.

Jeśli Stany Zjednoczone okazały się skuteczne w przywódczej roli w czasach zimnej wojny a następnie w krótkim i nieoczekiwanym przejściu do nowej fazy w polityce światowej, to przede wszystkim dlatego, że działały zgodnie z kierunkiem ewolucji i prawidłowościami rozwoju porządku międzynarodowego. Mam tu na myśli ewolucję odzwierciedlającą tendencje rozwojowe w gospodarce, życiu społecznym oraz zgodną z aspiracjami narodów pragnących żyć we własnych państwach.

Jednobiegunowe przywództwo USA w latach 90.

Z problemem globalnego przywództwa Stany Zjednoczone zostały skonfrontowane dopiero wraz z nastaniem demokratycznej administracji Billa Clintona. G.H. Bush udanie zmagał się wprawdzie z „masą spadkową” po zimnej wojnie,

³ Szerzej B. Russett, J.S. Sutterlin, *The U.N. in a new world order*, „Foreign Affairs”, wiosna 1991.

⁴ R. Kupiecki, *NATO a operacje pokojowe. Studium Sojuszu w transformacji*, Wyd. Adam Marszałek, Warszawa–Toruń 1998, zwłaszcza s. 80–89.

ale pierwszym prezydentem USA w całkowicie nowej sytuacji międzynarodowej stał się jego następcą. Bill Clinton posługiwał się w kampanii wyborczej hasłem „It’s economy, stupid!”, co mogło sugerować prymat dla wewnętrznych spraw gospodarczych, jednak bardzo szybko musiał stać się „prezydentem globalizacji”. Chodziło tu o to, że procesy globalizacji, które ruszyły żywiłowo od przełomu lat 80. i 90. szybko zaczęły przenikać cały świat oraz wszystkie ważne dziedziny życia gospodarczego i rozwoju cywilizacji. Ameryce raczej słusznie przypisywano odpowiedzialność za ich generowanie, z korzyściami i negatywnymi konsekwencjami dla różnych państw i regionów świata. Ponadto, rząd Clintona musiał się zmierzyć z jeszcze jedną nieoczekiwaną okolicznością, a mianowicie z tym, co znany konserwatywny komentator Charles Krauthammer nazwał błyskawicznie po zakończeniu zimnej wojny „the unipolar moment”, jednobiegunową chwilą⁵. Chodziło o bezprecedensową w czasach nowożytnych supremację jednego mocarstwa w skali całego świata. Nigdy do tej pory tak nie było. Takie mocarstwo stoi wobec sprzecznych nierzadko wyzwań i oczekiwań, odpowiedzialności ponad możliwości, ale także krytyk za to, co robi i czego nie robi. Jak się miało później okazać, tą „chwilą” była jedynie ostatnia dekada XX wieku.

Problemy, w które uwikłane było amerykańskie przywództwo nowego czasu zostały trafnie uchwycone przez Zbigniewa Brzezińskiego w wydanej w roku obejmowania władzy przez Billa Clintona (1993) pracy zatytułowanej *Bezład. Polityka światowa na progu XXI wieku*:

W konsekwencji, Stany Zjednoczone nie mogą pełnić funkcji stróża światowego porządku, ani światowego bankiera, ani nawet światowego moralisty. Pierwsza wymaga legitymizacji, druga musi opierać się na pieniądzu, a trzecia na własnym przykładzie⁶.

A jednak, Brzeziński uważał, że Ameryka nie ma wyboru – musi przewodzić. Bo taka jest natura jej systemu i to właśnie ona dysponuje niezrównanie największym potencjałem. Przez naturę systemu, miał na myśli jego innowacyjny charakter, co czyniło ze Stanów Zjednoczonych nieuchronnie katalizator przemian światowych, który jednak będzie działać na resztę świata destabilizująco. I dlatego będzie także pełnić rolę gwaranta bezpieczeństwa międzynarodowego, zwłaszcza że nie ma nikogo innego, kto mógłby to robić.

W pełnieniu nowej, do końca globalnej, roli Ameryka postawiła na dwa wehikuły (lepiej mówić o wehikułach niż filarach, ponieważ te pierwsze implikują dynamikę). Po pierwsze, na globalizację. Procesy globalizacji ruszyły po likwidacji zimnowojennych barier i podziałów według wzorca zwanego konsensem waszyngtońskim. Był to „przepis” na rozwój gospodarczy wypracowany

⁵ Ch. Krauthammer, *The unipolar moment*, „Foreign Affairs”, wydanie specjalne 1990/91, No. 70 (1).

⁶ Z. Brzeziński, *Bezład. Polityka światowa na progu XXI wieku*, Warszawa 1994, s. 131. Tytuł oryginału brzmi dla kandydata do przywództwa jeszcze bardziej zniechęcająco: *Out of control. Global Turmoil on the Eve of the Twenty-First Century*.

w końcu lat 80. w kręgach eksperckich zajmujących się finansami i rozwojem gospodarczym w federalnych instytucjach USA oraz Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego (czyli w Waszyngtonie). Jego sedno to ogólna liberalizacja, a bardziej konkretnie deregulacja i otwarte rynki. Szybko został uznany za receptę uniwersalną i jako taka był promowany przez rząd USA, międzynarodowe instytucje finansowe, środowiska akademickie, media⁷. Z pewną przesadą można powiedzieć, że amerykański establishment polityczny oraz finansowo-gospodarczy uważał globalizację za drogę do „zbawienia” świata, w sensie uruchomienia procesów rozwojowych w różnych, do tej pory tkwiących w stagnacji i zapóźnieniu, państwach i regionach.

Jednocześnie, w Stanach Zjednoczonych panowało przeświadczenie, że globalizacja świetnie służy Ameryce i Ameryka jako pewien wzorzec społeczny, gospodarczy i kulturowy jest stworzona do tego, aby zwyciężać w tych procesach. Jeden z największych piewców globalizacji Thomas Friedman, główny publicysta „The New York Timesa” w tamtym czasie triumfalnie ogłaszał, że „globalizacja to my”. Zbigniew Brzeziński pisał później, że utożsamianie globalizacji z amerykańską było szkodliwe, bo jej negatywne efekty uboczne przypisywane były Ameryce, a problemy tożsamościowe, które wywoływała, budziły krytykę, a nierzadko – wrogość wobec USA⁸.

Jednak ten pierwszy okres, lata 90. XX w. uchodzi za dobry czas dla globalizacji i to pomimo narodzin w końcu tej dekady ruchów antyglobalistycznych. Błędem neoliberalnych promotorów globalizacji okaże się za jakiś czas ignorowanie jej negatywnych konsekwencji nie tylko w innych częściach świata, ale w samych Stanach Zjednoczonych, czego pośrednim, ale niewątpliwym efektem będzie wybór Donalda Trumpa na prezydenta USA, który w kampanii wyborczej obiecywał Amerykanom zatrzymanie procesów globalizacji.

Ideowym wehikułem amerykańskiego, globalnego przywództwa w latach 90. było szerzenie demokracji i podstawowych wolności. „Enlarging democracy” znalazło się na sztandarach programu administracji Clintona. Stany Zjednoczone były w tej dziedzinie bardzo aktywne i miały w odniesieniu do tego obszaru legitymizację w postaci upadku komunizmu. Komunizm upadł, ponieważ systemy totalitarne czy autorytarne nie odzwierciedlają ludzkich aspiracji a poza tym są mniej efektywne pod względem zdolności do zaspokajania potrzeb społecznych. Tak można najkrócej przedstawić ten tok myślenia, który znajdował silne wsparcie w postaci głośnych publikacji znanych amerykańskich badaczy. Zawojowały one w tamtym czasie umysły osób działających w sferze publicznej w USA, na Zachodzie i poza nim. Warto tu przede wszystkim wymienić *Czy koniec historii?* Francisca Fukuyamy oraz *Trzecią falę demokracji* Samuela P. Huntingtona. Zwłaszcza ta druga praca była bardzo rzetelnym, ale też ideowym manifestem

⁷ R. Kuźniar, *Globalizacja bez alternatywy*, „Rocznik Strategiczny” 1997/1998.

⁸ Z. Brzeziński, *The Choice: Global Domination or Global Leadership*, New York 2004, s. 139.

na rzecz demokracji. Z kolei według Fukuyamy ustrojowa przyszłość ludzkości miała należeć do modelu będącego syntezą otwartej gospodarki rynkowej i liberalnej demokracji⁹. Amerykańska dyplomacja była na tym obszarze aktywna zarówno w stosunkach dwustronnych, jak i na forum organizacji międzynarodowych. Za finał tych zabiegów można uznać inicjatywę powołania do życia międzynarodowej koalicji 107 państw – „The Community of Democracies”, co stało się faktem w Warszawie, w czerwcu 2000 r.

Niewątpliwie specjalna rola USA w polityce światowej dekady lat 90. skłaniała amerykańskie elity do poszukiwania jakiegoś sposobu jej legitymizacji w ramach powstającego w tamtym czasie „global governance”, które miało dość amorficzny, nieczytelny sieciowy charakter. Chodziło o stricte polityczne potwierdzenie globalnego przywództwa i odpowiedzialności Stanów Zjednoczonych. Najbardziej poręcznym i „twardym” instrumentem wydawał się wtedy Sojusz Atlantycki. W świetle ocenionej jako sukces interwencji militarnej w Bośni i Hercegowinie (1995) oraz skutecznie przeprowadzonej operacji rozszerzenia NATO – w obu przypadkach główną rolę odegrały USA, które miały wsparcie pozostałych państw członkowskich – w Waszyngtonie pojawił się pomysł „globalnego Sojuszu” (global NATO). Chodziło o Sojusz, który mógłby interweniować poza mandatowym obszarem określonym w Traktacie waszyngtońskim oraz – jeśli trzeba – także bez zgody RB NZ. W łonie Sojuszu ujawniły się jednak w tej kwestii różnice i ostatecznie nie było zgody na ten kierunek jego ewolucji.

Z pewnością nie pomogła w tym interwencja militarna NATO przeciwko Federalnej Republice Jugosławii na tle konfliktu o Kosowo (wiosną 1999). Interwencja prezentowana przez państwa Sojuszu, głównie przez USA, jako humanitarna, została podjęta bez zgody Rady Bezpieczeństwa. Ponadto została źle poprowadzona pod względem operacyjnym i spotkała się z silną krytyką społeczności międzynarodowej, także części państw Sojuszu¹⁰. Podobnie źle były przyjmowane na świecie wyraźnie tryumfalistyczne tony, które zaczęły się pojawiać pod sam koniec lat 90. w dyskursie politycznomiędzynarodowym administracji Clintona (retoryka „indispensable nation”). W reakcji na nie francuska dyplomacja zaczęła lansować termin „hyperpuissance” (w domyśle aroganckiej) w odniesieniu do USA. Pojawiły się obawy, czy Stany Zjednoczone nie zmierzają do hegemonii, która jest rodzajem przywództwa kompulsywnego, nieliczącego się ze zdaniem tych, którym chce się przewodzić.

Wprawdzie w teorii ono mogło wyglądać przekonująco, ale w praktyce, która jest dziełem osób, grup i interesów, a przy tym napotyka na wrażliwość, interesy, tożsamość, niekiedy podejrzenia innych społeczeństw, innych kultur czy doświadczeń, mogło to budzić sprzeciw i reakcje przeciwdziałające. Zbigniew

⁹ *The end of history?*, „The National Interest”, lato 1989; S.P. Huntington, *Trzecia fala demokratyzacji*, tłum. A. Dziurdzik, PWN, Warszawa 1994.

¹⁰ J. Gajewski, R. Kuźniar *et al.*, *Kosowo: audiatum et altera pars*, „Rocznik Strategiczny” 1999/2000, s. 327–343.

Brzeziński był krytyczny wobec naturalnego utożsamiania globalizacji a amerykańską, lecz przecież już w 1997 roku, w swojej *Wielkiej szachownicy* pisał o „amerykańskim systemie światowym”, który dla niego był równoznaczny ze „światową hegemonią Ameryki”. Dzieje się to, jak dowodził, za sprawą „absolutnej przewagi Ameryki” w czterech dziedzinach: militarnej, gospodarczej, technologicznej oraz kulturowej (choć jak zaznaczał, w tej ostatniej, „pomimo pewnego prymitywizmu”)¹¹. To, co w języku Brzezińskiego mogło być tylko opisem, w politycznym odbiorze mogło świadczyć o arogancji amerykańskiego myślenia o roli USA w świecie. Również amerykańskie wizje porządku międzynarodowego wytwarzane przez społeczność uniwersytecką i reprezentującą wpływowe na świecie think tanki głosiły jednobiegunowość świata, jego amerykańskocentryczność, mówiły o amerykańskim imperium, Pax Americana lub nowej globalnej hegemonii¹². Moment przejścia od przywództwa do hegemonii jest trudno uchwytny, jednak są podstawy, aby sądzić, że w końcu tamtej dekady – amerykańska klasa polityczna i jej zaplecze koncepcyjne dojrzały do takiej zmiany.

Niezależnie od tego, trzeba podkreślić, że w tym okresie świat miał do czynienia ze szczodłą i otwartą Ameryką, głoszącą dobrą nowinę wolnego rynku, demokracji, a także globalizacji jako pasa transmisyjnego tej „ewangelii”. Owszem, i w tych latach nie brakło dramatów na świecie (np. ludobójstwo w rejonie Wielkich Jezior Afrykańskich) czy zachowań niezrozumiałych w polityce USA (odrzućenie ratyfikacji traktatu CTBT); ta lista mogłaby być dłuższa. Lecz przecież Ameryka nie mogła być „lekiem na całe zło” istniejące na świecie, choć czasem miała pokusę tak o sobie myśleć i czasem tego od niej oczekiwano. Jednak była to najlepsza dekada w polityce USA wobec świata od wielu dziesięcioleci. Na podobną przyjdzie nam długo czekać. Jeśli Stany Zjednoczone mogły w tym czasie całkiem udanie odegrać rolę światowego przywódcy, to dlatego, że wpisywały się zarówno w cywilizacyjne tendencje rozwojowe, jak i logikę ewolucji stosunków międzynarodowych (internacjonalizacja i współzależność rozwoju). Niekiedy jednak próbując ów ruch przyspieszać, ignorując przy tym kulturowo-polityczne zróżnicowanie świata i wywołując w ten sposób niepożądane konsekwencje czy reakcje.

Próba militarnej hegemonii: 2001–2008

Po nieoczekiwanej porażce demokratycznego kandydata na urząd prezydenta (dostał więcej głosów, ale przegrał wybory), nowa, republikańska administracja podjęła próbę przekształcenia światowego przywództwa Ameryki w globalną he-

¹¹ Z. Brzeziński, *Wielka szachownica*, Świat Książki, Warszawa 1999, s. 21–29.

¹² A. Jarczewska-Romaniuk, *Amerykańskie wizje ładu międzynarodowego po zakończeniu zimnej wojny*, [w:] *Porządek międzynarodowy u progu XXI wieku*, red. R. Kuźniar, UW, Warszawa 2005.

gemonię. Nic tego wcześniej zdawało się nie zapowiadać. Republikański kandydat George W. Bush i jego otoczenie wręcz krytykowali Billa Clintona za nadmierne angażowanie USA w sprawy międzynarodowe i deklarowali – w razie zwycięstwa – większy umiar w tej dziedzinie. Stało się zupełnie inaczej. Niektórzy wiążą to z zamachami 11 września 2001, ale tej tezy nie da się obronić.

Już w kilka miesięcy po objęciu urzędu G.W. Bush, w maju 2001, zadeklarował przystąpienie Stanów Zjednoczonych do budowy globalnego systemu antyrakietowego. Wiązało się to, co również wtedy uczynił, z jednostronnym wyjściem USA z zawartego w 1972 roku ze Związkiem Sowieckim Układu ABM. Układ ten miał służyć utrzymaniu równowagi strategicznej między oboma mocarstwami¹³. Proklamowany przez Busha projekt BMD był rozszerzoną na cały świat wersją NMD z czasów Reagana, która obejmowała jedynie terytorium USA. Nowa wersja, gdyby miała się okazać skuteczna oznaczałaby strategiczne obezwładnienie reszty świata. Jednak przede wszystkim, wywoływałaby reakcję innych mocarstw (zwłaszcza Rosji i Chin), czyli niosłaby destabilizację i wyścig zbrojeń¹⁴.

Dramatyczne wydarzenia z 11 września 2001 roku wymagały zdecydowanej odpowiedzi Ameryki, i świat w pełni to prawo akceptował, czego przejawem były m.in. rezolucja RB NZ czy ogłoszenie przez Sojusz Atlantycki sytuacji z art. 5 (choć przecież taką ona nie była). Dla administracji G.W. Busha, a zwłaszcza skupionych wokół niego neokonserwatystów¹⁵, którzy od dawna snuli projekty globalnej dominacji Stanów Zjednoczonych był to idealny pretekst do przejścia do działania w tym kierunku. Wehikułem budowy hegemonicznej wersji przywództwa miała być ogłoszona przez Waszyngton „globalna wojna z terroryzmem”, inaczej GWOT (Global War on Terror). Operacja w Afganistanie, której celem było rozbitcie kwatery głównej Al-Kaidy, stała się w jej ramach zaledwie skromnym preludium. Już w kilka miesięcy po obaleniu rządu talibów w Afganistanie ogłoszono kolejny cel: obalenie władzy Saddama Husajna w Iraku, co miało być wstępem do politycznej transformacji na całym „Szerszym Wschodzie”¹⁶.

Plan globalnej hegemonii został wyłożony ze zdumiewającą otwartością w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego podpisanej przez G.W. Busha we wrześniu 2002 r. Było w niej wszystko, co pozwala tak właśnie odczytać zamiar tej

¹³ Chodziło o ograniczenie systemów obrony przed raketami balistycznymi zdolnymi do przenoszenia głowic nuklearnych. Zapewniało to obu mocarstwom zdolność do skutecznego odstraszania, czyli właściwie eliminowało zagrożenie w postaci pierwszego uderzenia jednego z nich, bowiem odwet byłby równie niszczycielski. B. Clinton, pomimo presji ze strony Kongresu, gdzie większość mieli republikanie, nie zdecydował się na przejście od fazy badawczej do fazy realizacyjnej ówczesnej wersji NMD.

¹⁴ J. Deutch, H. Brown, J.P. White, *National missile defense: Is there another way?*, „Foreign Policy”, lato 2000.

¹⁵ *The shadow men*, „The Economist”, 26.01.2003.

¹⁶ Zob. zwłaszcza *Wojny Zachodu. Interwencje zbrojne państw zachodnich po zimnej wojnie*, red. M. Madej, Scholar, Warszawa 2017.

administracji. Po pierwsze, ten dokument wyraża bezgraniczną radość Ameryki z powodu jej „bezprecedensowego i nieporównywalnego” potencjału zbrojnego. Po drugie, mamy tam zapowiedź niedopuszczenia do tego, aby ktokolwiek zbliżył się wielkością swego potencjału do USA. Po trzecie, administracja Busha deklaruje w nim używać siły zbrojnej nie tylko w obronie własnej, ale też jej globalnych interesów bezpieczeństwa. Po czwarte, w użyciu siły zbrojnej Waszyngton nie zamierza uznawać ograniczeń ze strony prawa międzynarodowego. Dotyczy to samej decyzji o jej użyciu, co oznacza odrzucenie kompetencji Rady Bezpieczeństwa i zasad Karty NZ, jak również sposobu jej użycia. W tej drugiej sprawie oznaczało to odrzucenie wcześniejszego zamiaru przyłączenia się USA do Międzynarodowego Trybunału Karnego (uznania jego kompetencji)¹⁷. Chodziło oczywiście o to, aby amerykańskie wojsko mogło prowadzić działania zbrojne z naruszeniem konwencji genewskich czy haskich, bez ryzyka, że osoby odpowiedzialne staną przed trybunałem haskim. W przeciwieństwie do narodowych strategii bezpieczeństwa z lat 90. ten dokument małą rolę przypisywał dyplomacji. Całość wskazywała wyraźnie na zamiar militaryzacji amerykańskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa¹⁸. Sam tekst oficjalny, ale także towarzysząca mu narracja przedstawicieli administracji i jej zaplecza intelektualnego przeniknięty był nieco mesjanistyczną wizją Ameryki jako „miasta na wzgórzu”. Wybór instrumentów okazał się jednak chybiony, a co gorsza przyspieszył koniec dotychczasowej roli Ameryki jako światowego przywódcy.

Strategia z września 2002 roku dopuszczała m.in. tak zwane uderzenia wyprzedzające („pre-emptive strikes”), choć były one sprzeczne z prawem międzynarodowym. Na pierwszą ofiarę tej doktryny został wybrany Irak, jako państwo słabe, a jednocześnie po I wojnie w Zatoce obłożone sankcjami i mające zdecydowanie złą opinię z uwagi na represyjny sposób rządzenia przez Husajna i jego klan. Agresja na Irak (marzec 2003) była, z definicji, ciężkim naruszeniem podstawowych zapisów prawa międzynarodowego (Karty NZ), a ponadto, jak się szybko okazało, ale co łatwo można było wiedzieć wcześniej, została dokonana pod fałszywym pretekstem. Ku zaskoczeniu Busha i jego rządu, społeczność międzynarodowa silnie potępiła amerykańską interwencję, także ze względu na całkowite zignorowanie przez Busha roli ONZ w rozwiązywaniu problemu irackiego. Kryzys międzynarodowy spowodowany wojną iracką objął także Europę (spory i pęknięcia na tym tle w łonie UE). Co gorsza, Waszyngton podjął świadomą próbę dzielenia swych sojuszników na lepszych i gorszych – „starą” i „nową” Europę. Na domiar złego, wprawdzie G.W. Bush już kilka tygodni po rozpoczęciu inwazji ogłosił „mission accomplished”, lecz konflikt wkrótce rozgorzał na nowo ze wzmożoną intensywnością, powodując w kolejnych latach ogromne

¹⁷ B. Clinton podpisał statut ICC, ale nie rozpoczął procesu ratyfikacji. G.W. Bush wycofał podpis swego poprzednika.

¹⁸ W. Pfaff, *A radical rethink of international relations*, „International Herald Tribune”, 3.10.2003.

ofiary, destabilizując tamten region świata oraz przyczyniając się do wzmożenia aktywności terrorystycznej.

Problemem nie była tylko wojna, ale również arogancki, często sięgający do kłamstwa i propagandy przypominającej inne czasy oraz inne mocarstwo styl prowadzenia polityki zagranicznej przez Amerykę G.W. Busha. Jednym z eufemistycznych terminów, jakimi posługiwano się na określenie tej polityki był unilateralizm, czyli działanie w pojedynkę bez liczenia się z czyimkolwiek głosem czy interesami, łącznie z naruszaniem prawa międzynarodowego, do czego ta administracja jednostronnie przyznała sobie „prawo”. Warto w tym kontekście przypomnieć silną operację propagandową ekipy Busha skierowaną przeciwko Organizacji Narodów Zjednoczonych, w tym zwłaszcza Radzie Bezpieczeństwa, oraz sugestie powołania nowej organizacji międzynarodowej, która byłaby bardziej zgodna z hegemoniczną rolą USA. Niepokojący był również dla społeczności międzynarodowej wzrost amerykańskich wydatków na zbrojenia, który sięgał 45–50% światowych wydatków na ten cel, co było sytuacją bez precedensu. Jak pisał znany historyk Paul Kennedy, „Nigdy wcześniej w historii świata nie było takiej dysproporcji sił, nigdy!”¹⁹.

Arogancja, egoizm, unilateralizm, militarizm stały się znakami rozpoznawczymi Stanów Zjednoczonych podwójnej kadencji G.W. Busha. Widoczny był przy tym brak zainteresowania czy zrozumienia dla takich ważnych zagadnień jak prawa człowieka czy ochrona ziemskiego klimatu. To właśnie wtedy Rosja i Chiny przeszły do otwartej opozycji wobec międzynarodowej roli USA. Gdy wojna w Iraku okazała się katastrofą pod każdym względem, gdy konflikt w Afganistanie przeciągał się powodując coraz większe straty ludzkie, do bilansu „przywództwa” doszło jeszcze jedno nieszczęście, choć w innym wymiarze. To była katastrofa finansowo-gospodarcza, która została zapoczątkowana we wrześniu 2008 roku upadkiem Lehman Brothers. Po nim upadły lub weszły w głęboki kryzys inne instytucje finansowe w Ameryce. Konieczne były specjalne, rządowe programy ratunkowe na koszt podatnika. Stany Zjednoczone, a wraz z nimi znaczna część Zachodu, weszły w najpoważniejszy kryzys finansowo-gospodarczy od czasów Wielkiego Kryzysu z końca lat 20. i początku lat 30. poprzedniego stulecia. Efektem kryzysu było nie tylko osłabienie gospodarczego potencjału oraz pozycji USA i Zachodu w gospodarce światowej, ale również osłabienie globalnej legitymizacji neoliberalnego paradygmatu gospodarczego²⁰. To są sprawy dobrze znane, których szersze przypomnienie tutaj nie jest konieczne. Są jednak cechy wspólne kryzysu Ameryki w obu tych sferach: chciwość, samowola, brak odpowiedzialności, przekonanie o jedynej i wyłącznej słuszności własnej polityki. W jednym i drugim przypadku były to słabe listy uwierzytelniające do przywódczej roli Ameryki.

¹⁹ P. Kennedy, *The eagle has landed*, „Financial Times”, 2–3.02.2002.

²⁰ *Kryzys 2008 a pozycja międzynarodowa Zachodu*, red. R. Kuźniar, Warszawa 2011.

Próba administracji George'a W. Busha dążenia do globalnej hegemonii była przejawem mocarstwowości atawistycznej. Takiej mocarstwowości, która jest skierowana przeciwko innym, nie uwzględnia racji i interesów innych. Wzięła się nie tylko z anachronizmu tej koncepcji przywództwa, jego oparcia na nagiej sile, ale też z błędnego odczytania świata. Ameryka G.W. Busha działała przeciwko naturalnej ewolucji porządku międzynarodowego, która polega na wzmacnianiu współzależności i współdziałania między narodami oraz roli norm i instytucji, czyli zmniejsza znaczenie i pożytek z jednostronnego stosowania siły militarnej. Błąd w odczytaniu świata był tym większy, że ignorował powrót „reszty świata” na scenę międzynarodową, powrót który nieuchronnie implikował nadejście Post-American World. Książka Fareeda Zakarii pod takim właśnie tytułem ukazała się w ostatnim roku prezydentury G.W. Busha, którego polityka przyspieszyła kres dotychczasowej roli Stanów Zjednoczonych²¹. Symbolem ostatecznego fiaska tej formuły przywództwa była lekcja udzielona Ameryce przez Rosję w sierpniu 2008 roku na Kaukazie; wobec pacyfikacji Gruzji niedawny kandydat na hegemonia okazał się całkowicie bezradny.

Przywództwo powściągliwe w Post-American World

Czwarta rola Ameryki w omawianym tu okresie była próbą jej odnalezienia się po przywódczej katastrofie zafundowanej przez butną i żądną globalnej dominacji administrację G.W. Busha. Zadanie było tym trudniejsze, że w ciągu zaledwie kilku lat doszło do znaczących zmian w środowisku międzynarodowym Stanów Zjednoczonych. Chiny stały się drugim gospodarczym mocarstwem świata i w regularnym szybkim tempie odrabiały straty do Ameryki na wielu polach. Szybko rosła także ich pozycja międzynarodowa. Na awanturnictwie Busha skorzystała także Rosja. Spowodowany wojną w Iraku ogromny wzrost cen ropy dał Moskwie środki na konsolidację wewnętrzną i zbrojenia, co wyraziło się w jej bardzo asertywnej polityce zagranicznej. Pojawiły się mocarstwa średniej wielkości, od Turcji po Brazylię, którym Stany Zjednoczone przestawały być potrzebne. Ameryki można się było czasem bać, ale pożytek z niej żaden. W miejsce „indispensable nation” z końca lat 90. pojawiło się mocarstwo, bez którego właściwie można się było obejść. Oczywiście, jej potencjał i wpływy były nadal największe w świecie, ale mogła się liczyć i być potrzebna jedynie wtedy, gdyby chciała przewodzić na rzecz wspólnego dobra społeczności międzynarodowej, gdyby chciała brać pod uwagę interesy i wrażliwość różnych regionów i narodów świata. W roku odejścia G.W. Busha świat raczej chciał od Ameryki odpocząć niż oczekiwał jej przywództwa.

W Stanach Zjednoczonych stała się jednak rzecz nieoczekiwana. Nowym prezydentem został polityczny maverick, kilka lat wcześniej mało znany, czarno-

²¹ F. Zakaria, *The Post-American World*, New York 2008; wyd. polskie: *Koniec hegemonii Ameryki*, tłum. S. Kroszczyński, Wyd. Media Lazar, Warszawa 2009.

skóry senator z Illinois. Jego wyborcze hasło „zmiana” brzmiało o wiele bardziej wiarygodnie, niż gdy było wypowiedziane przez wielu białych, „konwencjonalnych” polityków. Barack Obama, bo o nim mowa, poważnie traktował swoje słowa i dotyczyło to w szczególności polityki zagranicznej USA, w której doszło do jednoznacznego odcięcia się od linii poprzednika. Jej credo odnajdujemy już w przemówieniu inauguracyjnym nowego prezydenta (styczeń 2009):

Sama nasza potęga nie jest w stanie nas ochronić, ani nie upoważnia nas do robienia tego, co chcemy. Przeciwnie. Nasza potęga rośnie dzięki temu, że jest wykorzystywana rozważnie. Nasze bezpieczeństwo wynika zaś ze słuszności naszej sprawy, siły naszego przykładu oraz pokory i powściągliwości, które nas ograniczają”. Praktyka kolejnych ośmiu lat to potwierdzi. Czwartą rolę Ameryki możemy więc nazwać „przywództwem powściągliwym”²².

I tylko takie mogło być zaakceptowane na świecie przez tych, którzy nadal chcieli liczyć na amerykańskie przywództwo w rozwiązywaniu problemów globalnych czy regionalnych. Zresztą, ze względu na ojca Kenijczyka, a także miejsce urodzenia – na Hawajach, gdzie pomimo purytańskiego wychowania przez białych dziadków, Obama czuł się bardziej predystynowany do aktywności wobec spraw globalnych czy problemów ważnych dla poszczególnych regionów niż do przewodzenia Zachodowi; można powiedzieć, że uniwersalizm miał w genach. Bush, choć w Europie budził sprzeciw, chciał ją mieć po swojej stronie, a zjednoczony Zachód miał być atutem Ameryki. Obama przeciwnie, uważał, że pomimo kryzysu (od 2009) Europa jest bezpieczna i dostatnia i nie potrzebuje amerykańskiego „matkowania”. Stanowiło to pewien zawód dla Europy, zwłaszcza tam, gdzie jego wybór został przyjęty z entuzjazmem. Europejczycy nie potrafili docenić ani skorzystać ze swobody, jaką im zostawiła Ameryka, aby nareszcie, bez jej kontroli czy przeciwdziałania „wybić się na niepodległość” wobec swego dotychczasowego patrona zza oceanu²³.

To się zmieniło dopiero wtedy, gdy Europie znowu zaczęła zagrażać Rosja. Rosyjska agresja na Ukrainę i konfrontacyjna postawa Moskwy wobec Zachodu wywołały należytą reakcję Waszyngtonu. Wprawdzie Obamie wypominano cały czas próbę resetu w stosunkach z Rosją, lecz gdy Putin w siłowej formie ujawnił neoimperialną naturę swej polityki, prezydent USA zareagował prawidłowo. Na Rosję zostały nałożone sankcje, Ukraina otrzymała wsparcie materiałowe i polityczne i wzmocniona została wschodnia flanką NATO, czyli pas państw stanowiących wschodnią granicę z Rosją czy byłym ZSRR. W tym kontekście Barack Obama sprawdził się jako przywódca Zachodu. A przecież mógłby zastosować politykę zbliżoną do appeasementu, co preferowały niektóre ważne państwa Europy Zachodniej (m.in. Niemcy, Francja, Włochy). W czasie szczytów Sojuszu

²² R. Kuźniar, *Barack Obama: dziedzictwo powściągliwości*, „Polski Przegląd Dyplomatyczny”, styczeń–marzec 2017.

²³ Z. Brzeziński, *From Hope to Audacity: Appraising Obama's Foreign Policy*, „Foreign Affairs”, styczeń–luty 2010 r.

w Newport i Warszawie Ameryka wystąpiła w roli stanowczego, choć nie wojowniczego przywódcy wolnego świata, w dobrym stylu przypominającym okres od szczytu w Londynie (1990) do Waszyngtonu (szczyt rozszerzenia, 1999). Fiaskiem natomiast zakończyła się inicjatywa zawarcia z Europą Transatlantyckiego Porozumienia w sferze Inwestycji i Handlu (TTIP). Sensem TTIP miało być nie tylko utworzenie „gospodarczego NATO” wzmacniającego spójność Zachodu. Ustanowienie największego na świecie bloku gospodarczo-handlowego miało mieć globalne implikacje. To była szansa na dyktowanie Chinom i innym gospodarkom wschodzącym standardów w WTO²⁴.

Krytykowany przez wielu, zwłaszcza w takich państwach jak Polska, „reset” z Rosją nie brał się, jak to było w przypadku Clintona, z naiwności czy pewnej rusofilii niektórych jego doradców (zwłaszcza S. Talbotta), lecz właśnie z jego uniwersalistycznego rozumienia obowiązków i polityki zagranicznej USA. Obama miał świadomość, że za zły stan stosunków USA–Rosja w poprzednich ośmiu latach odpowiedzialność ponosiła w dużym stopniu również konfrontacyjna polityka G.W. Busha (Obama jako senator był przeciwny agresji na Irak). Motywy „resetu” nie mogły budzić zastrzeżeń: po pierwsze, powrót do względnie normalnych stosunków z Rosją (jak za Clintona), co wydawało się możliwe w czasie, gdy prezydentem był Miedwiediew. Po drugie, Obamie zależało na redukcji zbrojeń strategicznych, co było pochodną jego idei świata wolnego od broni nuklearnej. To drugie udało się szybko osiągnąć w postaci porozumienia START III podpisanego przez obu prezydentów w kwietniu 2010 r. w Pradze. Powrót Putina i jego zachowanie wobec opozycji politycznej, a także wojownicze, antyzachodnie tony w jego polityce zagranicznej spotkały się z adekwatną reakcją Obamy, który zwłaszcza po rosyjskiej aneksji Krymu, przestał traktować gospodarza Kremla jako odpowiedzialnego partnera i m.in. relegował Rosję z G-8.

Jednym z ważnych aspektów globalnej roli Stanów Zjednoczonych była od kilku dekad ich silna obecność na Bliskim Wschodzie. Były dwa główne powody angażowania się USA w sprawy bliskowschodnie: bezpieczeństwo dostaw ropy naftowej oraz bezpieczeństwo Izraela. W okresie prezydentury Obamy mapa bliskowschodnich problemów Ameryki uległa zasadniczej zmianie, a przy tym te zmiany pokazały jej malejący wpływ w regionie. To właśnie być może tam było najsilniej widać malejący popyt na amerykańską mocarstwowość (poza regionami i państwami, gdzie nigdy go nie było). Był to jednak przede wszystkim efekt błędnych poczynań poprzedników Obamy, który starał się mniej lub bardziej skutecznie te skutki niwelować, co było trudne nawet pomimo dobrze przyjętego w świecie arabskim przemówienia Obamy w Kairze, uważanego za

²⁴ A. Jarczewska, *Transatlantyckie Partnerstwo Handlowo-Inwestycyjne (TTIP) – szansa na nowe otwarcie w stosunkach USA-UE?*, „Rocznik Strategiczny” 2013/2014. Niedotrzymanie terminu zakończenia negocjacji było jednak nie tyle zasługą USA, co oporów po stronie UE.

nowe otwarcie w stosunkach z tą częścią świata (czerwiec 2009)²⁵. Potem już jednak było tylko gorzej. Owszem, doszło do zakończenia militarnej interwencji w Iraku (wycofanie wojsk USA w 2010), lecz pozostawiono tam parasol nad skorumpowanym i nepotycznym rządem, który był otwarcie wrogi wobec sunnickiej części kraju. Brak konsekwencji wobec konfliktu w Syrii prowadził do jego przedłużania. Zdevastowane wojnami oba państwa padły łupem rakowatego tworu w postaci tak zwanego Państwa Islamskiego, co jednak zmusiło USA do ponownego militarne zaangażowania w tej części Bliskiego Wschodu. Za zupełnie nieudane trzeba uznać reakcje USA wobec arabskiej wiosny (2011). Katastrofą okazała się zwłaszcza interwencja mocarstw zachodnich przeciwko Libii Kadafigo. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że prezydent Obama z wielką niechęcią dał się wciągnąć w tę interwencję, lecz bez udziału USA zapewne nie doszłoby do obalenia rządów Kadafigo i obrócenia tego dotąd stabilnego i względnie dostatniego państwa w perzynę²⁶.

Aby lista bliskowschodnich porażek Ameryki Obamy była reprezentatywna, należy wspomnieć i o tym, że premier Izraela Benjamin Netanyahu, który nie krył swej niechęci do tego prezydenta USA, nie pozwolił Waszyngtonowi na najmniejsze nawet włączenie się w rozwiązywanie konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Sukces w postaci zabicia przez amerykańskie komando Osamy bin Ladena oraz zakończenia operacji ISAF w Afganistanie, nie zmienia tego bilansu, bowiem nie kończyły to konfliktu, a Amerykanie zostawili tam znaczący kontyngent wojskowy. Islamistyczny terroryzm jako zjawisko i zagrożenie dla Zachodu raczej w tym okresie się nasilił niż zmalał. Pozytywnie należy ocenić podjętą przez rząd Obamy próbę uzdrowienia relacji Ameryki z Arabią Saudyjską prowadzącą od lat wobec Zachodu podwójną grę²⁷. Niestety, jego następca, kierujący się jedynie względami biznesowymi, tę próbę natychmiast unieważnił.

Być może najbardziej ambitnym w aspekcie geopolitycznym, globalnym wyzwaniem, które podjęła Ameryka Obamy było sprostanie wzrostowi potęgi i roli Chin. Państwa Wschodniej Azji, w tym tradycyjni sojusznicy USA zaczęli odczuwać rosnące ambicje i presję, także militarną, Państwa Środka. Pochłonięty „globalną walką z terroryzmem” G.W. Bush zupełnie to przeoczył. Obama przeciwnie: już w pierwszym roku urzędowania ogłosił „zwrot ku Azji” (*Asian*

²⁵ Obama z jednej strony zadeklarował respekt dla odmienności świata islamu i gotowość do dialogu (w miejsce militarnych interwencji), a z drugiej wezwał społeczeństwa islamu do odważnego otwarcia się na wyzwania nowoczesności, co zostało dobrze przyjęte w regionie, zwłaszcza przez ludzi młodych.

²⁶ *Wojny Zachodu...*, op. cit., zwłaszcza s. 178–204.

²⁷ Było to w pewnym stopniu możliwe dzięki efektom rewolucji łupkowej uniezależniającej USA od dostaw ropy z tego kraju. Dwór Saudów z jednej strony był sojusznikiem Zachodu w sprawach regionu (także dla własnego bezpieczeństwa), a z drugiej – z saudyjskich pieniędzy finansowano działalność radykalnych ruchów islamistycznych w państwach Zachodu, które były wylęgarnią terroryzmu. S. Shane, *Saudis and extremism: Both the arsonists and the firefighters*, „New York Times”, 25.08.2016.

pivot). Barack Obama miał świadomość, że stawką jest nie tylko układ sił, ale także aksjologiczny wymiar porządku międzynarodowego. Jak można sądzić na podstawie poczyniń USA amerykańska strategia na tym kierunku była tyleż prosta i oczywista, co trudna, a mianowicie dwutorowa. Po pierwsze, otwarty dialog z Pekinem, w którym oba mocarstwa mogły sobie wzajemnie tłumaczyć swoje interesy i obawy. A równolegle, dyskretne montowanie koalicji państw Azji Wschodniej²⁸, która mogłaby wspólnie prowadzić domyślną strategię powstrzymywania według wzorca zaproponowanego jeszcze w czasie II wojny światowej przez Nicholasa Spykmana: nowy Rimland, od Indii po Japonię, miał otoczyć ekspansywne mocarstwo Heartlandu, którym u progu XXI wieku stały się Chiny.

Miękka charyzma Baracka Obamy, rozumienie i szacunek dla świata w całej jego różnorodności, takt i uwaga oraz dialogowy sposób prowadzenia rozmów ze swymi zagranicznymi partnerami, znaczenie jakie przywiązywał do dóbr globalnych (np. klimat) i zasad uniwersalnych (w tym do demokracji, praw człowieka) pozwoliły Ameryce odzyskać status *primus inter pares*. To była rola przez inicjatywę, przykład, rozagę, uwzględnianie racji szerszej społeczności. Można krytykować ten rodzaj przywództwa za nierzadko brak skuteczności. Nie wydaje się jednak, aby moment, w którym objął swój urząd – dziedzictwo po poprzedniku oraz stan Ameryki i świata – dawały szansę na inne.

* * *

O ile wybór Baracka Obamy na prezydenta mógł być zaskoczeniem ze względu na osobę, lecz nie ze względu na jego program i styl (mieszczący się w tradycji amerykańskiej prezydentury, np. Kennedy, G.H. Bush, Clinton), o tyle jego następcą jest zaskoczeniem całkowitym. Populistyczny arywista, kwestionujący wszystkie wcześniejsze podstawy amerykańskiej polityki zagranicznej, traktujący swój urząd i politykę zagraniczną jak biznes, wykazujący obojętność wobec tradycyjnych wartości i norm (właśnie prawa człowieka czy demokracja), dóbr globalnych (właśnie ochrona środowiska), budził wśród jednych szok i niedowierzanie, wśród innych – autokratów – radość. Jednak jest zbyt wcześnie, aby prognozować o jakości, treści czy tym bardziej o efektach roli, jaką Ameryka będzie pełnić wobec świata w najbliższych latach. Nie wydaje się, aby miała to być rola podobna do tej, odgrywanej przez Amerykę G.H. Busha, Clintona i Obamy. Zbigniew Brzeziński opisywał ją afirmatywnie w swej *Wielkiej szachownicy* jako rolę „obecnego «regenta» naszej planety, który tymczasowo wziął na siebie ciężar odpowiedzialności za pokój i stabilność świata”²⁹. Drastyczny regres w rozumieniu przez Waszyngton swojej odpowiedzialności w tej sferze będzie mieć negatywne konsekwencje dla świata i dla samej Ameryki.

²⁸ R.D. Kaplan, *Obama Takes Asia by Sea*, „International Herald Tribune”, 11.11.2010.

²⁹ Z. Brzeziński, *Wielka szachownica...*, *op. cit.*, s. 217.

Podsumowanie

Stany Zjednoczone radziły sobie zupełnie dobrze, a nierzadko zaskakująco dobrze w roli globalnego przywódcy od ostatnich lat zimnej wojny do roku 2016. Było to przywództwo niewolne od błędów czy niekiedy arogancji, ale łatwo sobie wyobrazić performance w tej roli w wydaniu jakiegoś innego wielkiego mocarstwa. W sumie USA odgrywały pozytywną rolę w porządku międzynarodowym. Wyjątkiem była katastrofalna pierwsza kadencja G.W. Busha. Jego następcą B. Obama potrafił przywrócić Ameryce sporo z poprzedniej przywódczej roli, choć znaczące zmiany w jej środowisku międzynarodowym definitywnie ograniczyły globalne możliwości Ameryki. Rozwijając myśl Krauthammera można powiedzieć „unipolar moment is definitely over”. Przyjście do władzy Donalda Trumpa pokazuje zapewne jeszcze jedną rzecz: Ameryka jest zmęczona. Stany Zjednoczone wyczerpały się, bardziej może nawet moralnie niż materialnie, jako światowy przywódca. Wymagają naprawy od wewnątrz. D. Trump tego nie dokona. Zatem przyszłość USA w którejkolwiek z ich wcześniejszych ról (lub ich odmian) pozostaje wielką niewiadomą.

Four Roles of America

Article presents an international role of the United States during the last thirty years. More specifically, we can talk about four subsequent roles of America in this period. First, as a leader of free world and a rival of the Soviet Union at the end of Cold War (G.H. Bush). Second, as a global leader in the 90s: time of the „unipolar moment” (B. Clinton). Third, a failed hegemon after unsuccessful bid for hegemony during the double term of G.W. Bush. And fourth, restraint leadership of the US exercised by B. Obama. Thirty years of global leadership seems to have exhausted morally America as it has been shown by the election of D. Trump. This choice puts under question future of the U.S. as a global leader.

Key words: United States, international order, global leadership, China, Middle East, Russia, globalization, Global war on terror

Cztery role Ameryki

Artykuł przedstawia międzynarodową rolę Stanów Zjednoczonych w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Bardziej precyzyjnie możemy mówić o czterech następujących po sobie rolach Ameryki w tym czasie. Najpierw jako lidera wolnego świata i rywala Związku Sowieckiego w końcówce zimnej wojny (G.H. Bush). Po drugie, jako globalnego przywódcy w latach 90., w czasie uważanym za „jednobiegunowy moment” (B. Clinton). Po trzecie, upadłego hegemonia po fiasku narzucenia światu globalnej hegemonii w czasie podwójnej kadencji G.W. Busha. Wreszcie, powściągliwego przywództwa USA sprawowanego przez B. Obamę. Trzydziestoletnie globalne przywództwo jak się zdaje wyczerpało moralnie Amerykę, co pokazała elekcja D. Trumpa. Ten wybór stawia pod znakiem zapytania przyszłość USA jako globalnego przywódcy.

Słowa kluczowe: Stany Zjednoczone, porządek międzynarodowy, globalne przywództwo, Chiny, Bliski Wschód, Rosja, globalizacja, globalna wojna z terroryzmem